

Celebrare Convivium. Miasto w podróży – perspektywa gościnności

Krystian Darmach

PL ISSN 1429-0618; e-ISSN: 2719-6526

DOI: <https://doi.org/10.23858/JUE21.2023.010>

<https://rcin.org.pl/dlibra/publication/277202>

Jak cytować

Darmach, K. (2023). Celebrare Convivium. Miasto w podróży – perspektywa gościnności. *Journal of Urban Ethnology*, 21, 163–176. <https://doi.org/10.23858/JUE21.2023.010>

Krystian Darmach
ORCID: <https://orcid.org/0000-0002-1102-6260>
Wydział Studiów Międzynarodowych i Politologicznych
Uniwersytet Łódzki

Celebrare Convivium. Miasto w podróży – perspektywa gościnności

Celebrare Convivium. City on the go – the perspective of hospitality

Abstract

In the article, I attempt to speak about hospitality in relation to the contexts of the city and travelling, starting from the ethnographic detail and moving towards the anthropological general, and back again. I attempt to look for universal attributes of hospitality, to see how they were realised in my own experience. These are the goals that guided me in writing the current text, which is devoted to memory, travelling, experiencing various forms of hospitality during distant and short journeys, during research projects and “ordinary” moving in a culturally alien environment and city; among people and things, with the baggage of one’s own culture and one’s own corporeality. While reconstructing my own experiences of hospitality, I tried to confront them with the reflection of cultural researchers crucial to anthropology. I decided to quote them abundantly, to allow these passages to correspond with each other and with the adopted topic, and thus to give them a special kind of hospitality in the text.

Key words: hospitality, urban ethnography, autoethnography, journey

* * *

W artykule próbuję opowiedzieć o gościnności w kontekście miasta i podróży, wychodząc od etnograficznego szczegółu, a dążąc do antropologicznego ogółu, i z powrotem. Staram się znaleźć uniwersalne atrybuty gościnności, przyjrzeć się, jak funkcjonowały one w moim własnym doświadczeniu. Te właśnie cele przyświecały mi przy pisaniu poniższego tekstu poświęconego pamięci, podróżowaniu, doświadczaniu różnych form gościnności w trakcie dalekich i bliskich wyjazdów, podczas badawczych przedsięwzięć i „zwykłego” poruszania się w obcym kulturowo środowisku i mieście, wśród ludzi i rzeczy oraz z bagażem własnej

kultury i własną cielesnością. Rekonstruując własne przeżycia gościnności, starałem się je skonfrontować z refleksjami ważnych dla antropologii badaczy kultury. Postanowiłem obficie je cytować, pozwolić tym fragmentom ze sobą i z przyjętym tematem korespondować, i tym samym udzielić im w tekście szczególnego rodzaju gościnny.

Słowa kluczowe: gościnność, etnografia miasta, autoetnografia, podróż

Odebrano / Received: 16.02.2022

Zaakceptowano / Accepted: 2.06.2023

Podróżowanie wiąże się na wielu poziomach z szeroko i partykularnie rozumianą gościnnością jako uniwersalnym atrybutem kultury. Tym samym gościnność to kategoria, wzór zachowań i postawa wpisana w podróżowanie i przemieszczanie. Gościnność ma swój metaforyczny horyzont i konkretne zachowania ujęte zwyczajową normą. Między podróżowaniem a gościnnością zachodzi swoiste „istotowe pokrewieństwo”. Chciałbym mu się przyjrzeć, przyjrzeć się samej podróży, obecności w „obcym” mieście przez pryzmat gościnności, odwołując przy tym do własnego doświadczenia i rozmaitych kategorii antropologicznych. Trudno jest dziś „zamknąć” obydwa pojęcia w precyzyjnej definicji, i chyba nie ma takiej potrzeby. Odsłaniają one swe znaczenia właśnie poprzez manifestacje subiektywnego doświadczenia i odczuwania, w nim się objawiają i spełniają, odwołując jednocześnie do uniwersalnych cech społecznego, zbiorowego funkcjonowania.

Podróżowanie jest dziś bardzo sformalizowane. To proces poddany praktycznej technologizacji i optymalizacji działania. Proces mający wyzbyć się niespodziewanego (do czego jeszcze wróć), niewygody, niedogodności etc. Proces zrównujący podróżowanie z przemieszczaniem, przejazdem, przebyciem z punktu A do B. Wiadomo od czasów pierwszych migracji, podróży i pierwszych z nich relacji, że podróż to jednak „coś” więcej. Więcej niż zespół czynności i sekwencji. To poznawanie, być może przede wszystkim samego siebie i własnych możliwości. To „gra” z czasem, przebywanie w czasie „rozregulowanym”, czasie zawieszenia rutynowych i codziennych działań, w czasie, w którym przełamujemy powszednie, mentalne przyzwyczajenia i wykraczamy poza określony *habitus*. Przekraczamy zarówno te abstrakcyjne, metaforyczne, jak i fizyczne granice.

Zatem jakim językiem pisać o gościnności? Gościnność pisać dużą czy małą literą? Językiem bogatym i kwiecistym? Oddanym, otwartym i zrozumiałym, szczodrym? Być może gościnny.

Czy językiem wdzięcznym, zagubionym, szukającym schronienia, dopełnienia, z wdziękiem i dziękczynnie, językiem dźwięcznym w spokojne tony?

Jakim językiem pisać, by oddać własne doświadczenie i nie nadwyrężyć gościnności naukowego dyskursu, cierpliwości strażników naukowego rygoru i zasad panujących na dziedzińcu humanistyki (jeśli oczywiście wciąż chcemy upierać się przy konieczności zachowania jej „twardych” naukowych walorów)?

Czy gościnność to pojęcie, kategoria, koncept, idea, kulturowy wzór przejawiający się na różne sposoby i z równą intensywnością pod każdą geograficzną szerokością świata? Czy gościnność to emocje, potrzeba, wyrachowany kulturowy „produkt” towarzyszący nam od zarania ludzkich dziejów i konstytuujący przetrwanie gatunku? Czy gościnność to kategoria stopniowalna? „Chłodna”, „gorąca”, „surowa”? Jest albo jej po prostu nie ma? Czy można jej doświadczać antropologicznie, czy raczej – bezprzymiotnikowo i bezinteresownie? Po prostu doświadczać.

Gdy wyjeżdżam w „nieznane”, nowe (zagraniczne) miejsce, miasto, to czuję jak nagle zsuwam się w nieczytelne, nienazwane przez samego siebie otoczenie. Wcześniej czy później potrzebuję gospodarza, emisariusza, którego wskazówki przecierają oczy, uczą kompetencji, modelują percepcję w rozpoznawaniu wielowymiarowej przestrzeni obcej dla mnie kultury. Nie tej wyczytanej, podsycanej literaturą, oglądanej oczami wyobraźni. Nie tej oglądanej na kartach książek i przewodników, opowiedzianej przez kogoś innego (Innego), podglądanej przez ekran komputera, smartfona, przez pryzmat reklamowego folderu, turystycznej fotografii czy szeroko rozumianej sztuki słowa i obrazu. Ale kultury doświadczanej „tu i teraz”, „tam i wtedy”, na własnej skórze, bez cudzysłowu, sensorycznie w całej swej zwartej złożoności, niezwykłości i powszedniości.

Gdy myślę o pierwszym spotkaniu z wyraźnie odmienną kulturą, to pamięć przywołuje (dość przyjemne) odczucie „rozpadania się”, rozkładania się na części, porzucenia kontroli nad czasem, nieokreślonej intensywności przeżywania, otwartości i szukania kontaktu. Tej pomocnej, przyjaznej ręki, która mnie poprowadzi, ponownie złoży, pozwoli dostosować się do wymiarów panujących po tej „drugiej stronie lustra”. Czuję się wtedy jak Alicja w krainie czarów. Nie pamiętam jak długo to trwa. Trzy dni, tydzień, miesiąc, zanim zacznę odczytywać odpowiednie parametry, wtapiając się choć trochę swym zachowaniem we właściwe rejestry.

Cóż za dziwne uczucie – rzekła Alicja – składam się zupełnie jak teleskop. Tak było naprawdę. Alicja miała teraz tylko ćwierć metra wzrostu i radowała się na myśl o tym, że wejdzie przez drzwiczki do najwspanialszego z ogrodów. Najpierw jednak odczekała parę minut, aby zobaczyć, czy się już nie będzie dalej zmniejszała. Szczerze mówiąc, obawiała się trochę tego. Mogłoby się to skończyć w taki sposób, że stopniałabym zupełnie niczym świeczka. Ciekawe, jakbym wtedy wyglądała. Tu Alicja usiłowała wyobrazić sobie, jak wygląda płomień zdmuchniętej świecy, ale nie umiała przypomnieć sobie takiego zjawiska. Po chwili, gdy uznała, że jej wzrost już się nie zmienia, postanowiła pójść natychmiast do ogrodu. Niestety. Kiedy biedna Alicja znalazła się przy drzwiach, uprzytomniła sobie, że zapomniała na stole kluczyka. Wróciła więc, ale okazało się, że jest zbyt mała, by dosięgnąć klucza (Carroll 1988: 20-21).

Przy pierwszym kontakcie, spotkaniu, wejściu w nowe terytorium mam szczęście do gościnnych przewodników, ludzi, którzy niejako naturalnie wchodzą w społeczną

rolę, poddając się bezwiednie sile uniwersalnego kulturowego imperatywu. Imperatywu będącego przepracowanym na różnych poziomach (synchronicznym, diachronicznym) powszechnym elementem struktury ludzkiego umysłu, by odwołać się tu (gościnnie) do języka i myśli Claude'a Lévi-Straussa (Lévi-Strauss 1960). Wymogu normy jako normy. Właściwej umysłowi i kulturze dążności do wprowadzenia porządku, związanej z nim zasadzie wzajemności i komunikacji, której sprzyja syntetyzujący charakter daru. Daru, jakim jest gościnność z własną, mieniającą się rozmaitymi odcieniami, ale nienaruszalną morfologią. *Raz w kula zawsze w kula* (Malinowski 1981).

Tak jak potrzebny jest nam porządek i sens stojący na jego straży, tak badawczemu umysłowi potrzebny jest także nie-porządek, „chaos”, bodziec wybijający percepcję i nazbyt sztywną refleksję z wysłużonych już zawiasów (ta potrzeba ma być może także uniwersalna i odświeżający badawcze działanie charakter).

W moim przypadku skala i subtelny rozmach portugalskiej gościnności związanej z pobytem na studiach w Mirandzie do Douro objawił się dopiero po wielu latach. Tak jakby pamięć uwydatniła zdarzenia, a znaczenia z nimi związane dopiero teraz zaczęły być czytelne. Uzyskały pogłębioną perspektywę także z powodu czynionych tu rozważań – myślenia właśnie w perspektywie gościnności.

Pamiętam pierwszy przyjazd poprzedzony podróżą pociągiem, samolotem i samochodem przez zasną Łódź i Warszawę, rozżarzony Madryt, pastelową Zamorę i kamienistą, tajemniczo rozświetlaną zachodzącym słońcem północną granicę hiszpańsko-portugalską. Jazda, czekanie, chodzenie, pytanie, czekanie, pocenie się, sprawdzanie trasy, rozkładów jazdy, czekanie, rozglądanie się, siedzenie. I wreszcie jestem, obarczony rozklekotaną walizką, bagażem pożegnań i „powidoków” łódzkiej codzienności, posmakiem domowego, jeszcze polskiego śniadania. Wysiadam z samochodu, przywieziony z Zamory przez znajomego, który jak się później okazało samochód ten musiał od kogoś życzliwego pożyczyć, zatankować, zapłacić i czas swój wszystkiemu poświęcić. Wysiadam wreszcie i dopada mnie zmęczenie. Całkowicie zdaję się na przyjmujących mnie ludzi. Jest ciepło, gorąco, barwnie, cykają jakieś świerszcze, owady, czują się niepewnie. Trochę śnię, trochę śpię. Spać się chce, ale sytuacja mi na to nie pozwala. Nowe kształty, przejazd skutera, inny układ rzeczy, architektura, materia, kolory, zapachy: rzeczywistość w sposób synestezyjny ze zdwojoną siłą napiera na zmysły, podtrzymuje je w stanie ciągłego napięcia, rozgrzania. Kolacja, kurtuazja, pytania, odpowiedzi, niedopowiedzi. Pokój pełen ludzi, muzyka, posiłek, jedzenie, rozmowy. Spotęgowana wszystkim ostrość uwagi, uważna ostrożność i myśli, które przez pierwsze dni parafrazują doświadczaną rzeczywistość. Co, dlaczego, skąd, gdzie iść, z kim rozmawiać? Nie muszę się przecież martwić, z wszystkiego wyręczają mnie znajomi/gospodarze. Niczym kot instynktownie się poruszam i wyczuwam teren. Bez refleksji przyklejam do biegu rzeczy. Estetycznie. Stycznie. Przedmioty widziane są w podróży w swej *par excellence* rzeczowości. Nie do końca dla mnie prawdziwe, zyskujące rzeczywisty walor w procesie rozpoznania, w układach, powiązaniach, kon-sekwencjach: kamień, schody, drzwi,

odmienne zamki, zamknięcia i „inne” sposoby ich otwierania poprzez przekręcenie gałki lub odblokowanie małej zasuwki, klamki, blokady, framugi, okna, rolety, kontakty, kurki, ornamenty, zatrzaski, przełączniki, imponderabilia... otoczenie, które wydaje się stroić sobie ze mnie żarty i wystawiać na próbę. Jednocześnie struktura urbanistyczna miasta jest na wskroś europejska, oparta o uniwersalne europejskie fundamenty planowania i myślenia. Wszystkie jej cechy dystynktywne uspokajają mój poznawczy dysonans (i to także jest niedostrzegany zwykle wymiar gościnności).

Pierwsza kolacja, pierwszy kontakt z ludźmi, z prawdziwą (bo „tu na miejscu”), śródziemnomorską kuchnią, jej rozlicznymi wariantami, z kuchnią afrykańską, tu na północy Portugalii płynącej także ze swej kulinarnej odmienności. Nakładanie się warstw. Smakowo-zapachowy palimpsest, przekrój czasu i przestrzeni. Tygiel.

Jemy, pytamy się o siebie, rozpoznajemy. Tak inaczej to wszystko wówczas smakuje, szczególnie owoce morza, neutralizowane uśmiechem i zmrożonym winem, bo przecież gościnność ma zarówno swoje prawa, przywileje, jak i obowiązki. Obiadokolacja trwa w nieskończoność, mnożą się potrawy, sprawy, miski, półmiski, butelki, kruszeją dystanse, gramatyka, mieszają się języki, nawyki, i wreszcie, gdy zostajemy ze znajomym na koniec spotkania sami, na samym końcu Europy i wydawać się może, że dzielą nas tak powierzchowne sprawy, jak odległe miejsce urodzenia, różne doświadczenia, języki, rodziny i wszystko jest jakby na opak, to nagle, gdy opada powitalny harmider zauważam na półce książkę Dostojewskiego oraz podwójny niezwykle ważny dla mnie i niespotykany u zbyt wielu osób album Milesa Davisa – *At Filmore: Live At The Filmore East*. Wyciągam z półki tę płytę, nasze spojrzenia spotykają się i wszystko staje się jasne. Jest jasne, bo jesteśmy w domu. W cudzysłowie i bez cudzysłowu. W podróży, ale „u siebie”, w kręgu wspólnych wartości, we wspólnym mianowniku.

Pierwsze dwie czy trzy noce zanim wynająłem pokój spałem w gościnie u nieznannej mi osoby. Dostałem łóżko. Jakże ważne i konieczne. Niezbędne, zawsze i wszędzie. Kwintesencja. Prosta idea i konkret, od którego zależy nasze poczucie komfortu, odpoczynek, dopełnienie, domknięcie często w podróży naruszanego organicznego rytmu dnia i nocy. Symbol domu, metafora miejsca i miasta. Jak pisze Roger-Pol Droit, łóżko:

To raczej rodzaj sytuacji przestrzennej: rozciągnięcie, leżenie. Rodzaj strukturalizacji świata, a nie przedmiot. Nie drewniane listwy i metalowa rama. Łóżko jako świat położony nie jest ani materacem, ani podtrzymującą go stolarską konstrukcją”, i dalej: „[...] łóżko zdaje ci się rzeczą bez wątpienia. Jedną z wielu. Szczególną, obciążoną symbolami, emocjami, wspomnieniami i przyszłością: tu się rodzimy i umieramy, tu uprawiamy miłość, tu marzymy, zmartwychwstajemy, płaczemy, rozpadamy się. Wszystkie okresy naszego istnienia mają związek z tą ograniczoną przestrzenią (Droit 2005: 62).

Drugiego dnia po przyjeździe budzenie się w nowym otoczeniu było dla mnie – podobnie jak dla Droit – trudne. Pisze on w ten sposób:

[...] odkąd pamiętam, budzenie się było sprawą skomplikowaną. O poranku świat jest niekompletny. Przybliżony, niedokończony. Mam jakieś fragmenty, jakieś kawałki, ale brakuje reszty. Rzeczy odbudowują się powoli, jak elementy porozrzucanej układanki, jeden po drugim odnajdujące swoje miejsce, we własnym rytmie, w sposób, który uniemożliwia mi przyspieszenie tego rytmu i jakąkolwiek kontrolę. Próbowałem wszystkiego. Na próżno. Zawsze gdy się budzę, mój świat pojawia się źle uczesany. To jest świat w brudnopisie, źle określony, czasem po prostu niezwykle (Droit 2005: 61).

Tego dnia, jak praktykant pod okiem czeladnika, powoli składałem sobie świat miejskiej Mirandy. Zostałem oprowadzony po miasteczku, wypilem kilka darmowych drinków, dowiedziałem się co, gdzie, jak i dlaczego się tam znajduje. Spaliłem skórę w bezlitosnym słońcu, poznałem kolejne osoby. Kolacje i przyjęcia się powtarzały, w co rusz innym domu. Kolejno. Prawem cyrkulacji.

Bycie gościem to przyjemność. Przyjemność powrotu do dzieciństwa, dziecięcych emocji. Jesteśmy prowadzeni za rękę, otoczeni opieką, bezpieczni, obsłużeni, uwolnieni od zwykłych obowiązków związanych ze zmywaniem lub sprzątaniami. Mamy czuć się jak w domu, ba, nawet lepiej niż w domu. Jak pod czujnym okiem mamy, bo gościnność to kobiecość, duch kobiety, ognisko domowe, stół, opoka, obfitość, strawa, schronienie, oddanie, dzielenie. Gościnność to nie tylko abstrakt. Żyzne pole semantyczne tego pojęcia skrapla się przecież w osobistym i wspólnotowym doświadczeniu. *Familia Humana*. W drodze. Dotyka tkanki czulego na żywą kulturę nie tylko antropologa, antropolożki, ale każdego.

Gościnność to "czasownik". Wprowadza ludzi w krąg znaczeń podstawowych, zrozumiałych bez mowy i języka, posiadających jednoczący niemal sakralny charakter. Ponad linearnym czasem, ponad fizycznie mierzoną przestrzenią.

Gościnność objawiała się w drobiazgach, w nastawieniu, w języku. W wyrozumiałym powolnym powtarzaniu portugalskich fraz, w obsłudze na poczcie poza kolejką, przy kasie, w bibliotece, w gestach, cierpliwości, w zaproszeniu do aktywnego udziału w piłkarskim meczu (pomimo mojej zupełnej nieprzydatności dla drużyny), który był przyczynkiem do przyspieszonej i pogłębionej socjalizacji, gdyż wspólne przeżycia i znajomości z boiska zaowocowały w innych społecznych wymiarach i sytuacjach. Bramkarz pracował na poczcie, obrońca w bibliotece, napastnik w miejscowym muzeum. Przy kolejnym spotkaniu byliśmy już kolegami z boiska.

Gościnność objawia się przyjaznym skinieniem głowy na stacji metra, ofertą pomocy w poszukiwaniu drogi na zatłoczonych ulicach Manhattanu, na parkingu prowincjonalnego pustkowie, pytaniem skąd jesteś, czy pierwszy raz, na jak długo?

Gościnność wreszcie wprowadza nas do „centrum” kultury, w miąższ, w jej samo „sedno”, w miasto, tak jak jest ono przez tutejszych, tubylców, miejscowych, rozumiane i podzielane. To wykładnik tradycji (tradycji żywej, nie zastygłego tradycjonalizmu) objawiającej się pod postacią ciepłego, sytego, kalorycznego posiłku (ciasto, herbata,

kieliszek wina), dającego przyjemność i siłę pożywienia, w zależności od kontekstu i sytuacji. *Bacalhau*, chrupiące ryby, *jindungu*, *piri-piri*, sypki ryż, *tempura*, kolorowe przyprawy, aromaty, *caipirinha*, oliwa, wino, bajgle, trudne do zapamiętania i powtórzenia nazwy, nowe konsystencje, zaskakujące połączenia: jajka, kluski z chlebem, sosy, grzyby, przyprawy, intensywność... smaki wyzywające do konfrontacji z samym sobą, ukazujące nasze kulturowe uwarunkowania i indywidualne przyzwyczajenia. Czy to w Portugalii, czy będąc zapraszonym przez studentów z Afganistanu, Peru lub Angoli zawsze zaczynało się i kończyło „typowym” posiłkiem. Opowieścią o nim, o jego pochodzeniu, produktach, sposobach przygotowania. Opowieścią o istotnych elementach tożsamości, których punktem wyjścia był gościnny talerz, miska. Częsteczką elementarna promieniująca („parująca”) kulturowymi znaczeniami.

Miska. Miseczka. Przywołajmy ponownie dłuższą, ale niezwykle istotną myśl częstego gościa naszego tekstu. Droit pisze tak:

Masywna jak głębia dziejów. Dawniejsza niż dzieciństwo. Prehistoryczna. Rzecz wklęsła, chroniąca płyn, nie pozwalająca mu uciec. Forma, która uspokaja. Od razu bliska i wierna. Prawie zapomniałem, dlaczego tu jestem. Oto pierwszy przedmiot, pierwotny. Ta rzecz przypomina o początkach ludzkiego gatunku. Wielkie mały mają kije, kamienie, odpowiedniki broni i narzędzi. Nie mają misek. Wraz z człowiekiem pojawiają się czarki, kielichy, misy, miseczki.

Miska daje początek pojemnikowi. Bezapelacyjnie uspokaja. W ogólnym strumieniu pojemnik przerwał niekończące się przelewanie. Chroni przed rozproszeniem. Zatrzymuje wyciek. Powstrzymuje odpływ. Stabilizuje płyn, nieuchronnie skazany na roztrwonienie i zgubę. Robi to lepiej niż dłonie. Trwale. Bez wysiłku. Miska umożliwia regulację naturalnej entropii. Nadaje rytm temu, co trwa bezustannie.[...] Otwarta grotta, ciepły pojemnik – do dyspozycji i na miarę ciała – miseczka jest najbardziej matczynym, najbardziej kojącym spośród przedmiotów. Nie bez powodu mnisi z buddyjskiej społeczności porzucili wszystko z wyjątkiem miseczki na jałmużnę. W pewnym sensie była dla nich domem. Bo miseczka, w przeciwieństwie do archaicznej siły macierzyńskiej, wydaje się pozbawiona zagrożeń. Pierś idealnie wklęsła, idealnie łagodna, najwyraźniej wcześniejsza niż wszelkie konflikty i podziały. To dlatego jest w miseczce coś, co wydaje się wieczne. Historia może przeróżnie ją ustroić: miski z drewna, z terakoty, ze szklawionej kamionki albo z plastiku, przezroczysta, aluminiowa na górskie wyprawy, fajansowa na wsi – wszystkie połączone rodzinnym podobieństwem: serdeczne i łagodne (Droit 2005: 19-20).

Serdeczność i łagodność gościny. Pożywienie, bezpieczeństwo. Łóżko, miska, stół. Miejski plac. Przetrawanie. *Philo-ksenia*. Prawo gościnności. Akt gościnności, który reifikuje to, co w kulturze jest prymarną wartością, akumuluje i ucieleśnia abstrakcyjne idee. To rudymmentarny wspomniany już atrybut kultury, stworzony przez człowieka dla człowieka, konieczny dla jego funkcjonowania jako jednostki, jako członka zbiorowości, społeczeństwa,

gatunku. Gość, gościnność to dobrze znana figura obecna w religii i w literaturze. Od Odysei po wolne miejsce przy wigilijnym stole. A skoro topos gościnności przeniknął tak głęboko do tradycji, kanonicznych ksiąg i doktryn religijnych świata, to sprawa musi być niezwykle ważna właśnie z punktu widzenia przetrwania ludzkiego gatunku.

Religijnie usankcjonowany, objawiony, święty, niemal boski status Gościa, swoista jego nadprzyrodzona ochrona (*Providence*) – kimkolwiek on jest – służy nie tyle i nie tylko symbolicznej egzaltacji człowieka, ale jest wyrazem, konsekwencją, utylitarną koniecznością. Drugą twarzą altruizmu zapewniającą grupie biologiczne przetrwanie, byt i dialog – bo przecież, by przetrwać trzeba było i trzeba być w ruchu – raz gościem, a raz gospodarzem. Gościnność to nie wynik piękno duchostwa, lecz pragmatyczny w istocie obyczaj (normatywnie sankcjonowany) występujący pod każdą geograficzną szerokością.

To Instytucja, by sięgnąć do pojęciowego słownika Bronisława Malinowskiego. Realizująca cele dzięki działaniom według normy, posiadająca substrat materialny i „personalny”, spełniająca rzecz jasna swoje funkcje, zaspokajająca w tym przypadku podstawowe ludzkie potrzeby.

Jeśli zapraszamy do dialogu Malinowskiego, to oddajmy mu głos w sprawie doświadczenia terenowej gościnności:

Z samej natury badań wynika, że etnograf musi korzystać z pomocy innych w stopniu o wiele większym niż badacze z pozostałych dyscyplin nauki. Dlatego też pragnę w tym właśnie miejscu przedstawić, jak bardzo jestem zobowiązany wobec tych, którzy udzielali mi pomocy [...] Nie dokonałbym tego wszystkiego, gdyby nie wielka pomoc mieszkańców Nowej Gwinei. Mój przyjaciel pan H. Hancock z Gusawata (Wyspy Trobrianda) oddał do mojej dyspozycji swój dom i magazyn, które służyły mi jako baza dla ekwipunku i zaopatrzenia. Wielokrotnie pożyczał mi swojego kutra, a także otworzył mi swój dom, gdzie zawsze w razie potrzeby czy na wypadek choroby mogłem znaleźć schronienie. [...] Inni kupcy pereł na Trobriandach byli także bardzo uczynni względem mnie, zwłaszcza państwo Raphael Brudo z Paryża, państwo C. i G. Auerbach oraz pan Mick Georg, wszyscy pomagali mi w różny sposób i okazywali gościnność (Malinowski 1981: 25-26).

Człowiek w podróży, poza domem, jest wybrakowany. Niezupełny, słaby, „w kryzysie”. Cieleśnie odcięty od znajomego świata. Jak kawałek materiału o odmiennym wzorze i fakturze. Jeśli jest badaczem, antropologiem (co robi antropolog – pracuje), to będąc w pracy poszukuje powiązań, ukrytych szwów, które pozwolą mu wgryźć się i wpleść w tkaninę badanej rzeczywistości. Ale najpierw musi doświadczyć w jakimś wymiarze właśnie gościnności. By w ogóle ruszyć dalej, zacząć negocjować swój status, zyskać zaufanie, wytłumaczyć charakter swojej pracy, rodzaj obopólnych (myśląc życzeniowo) korzyści. To od gościnności zaczyna się poznanie w terenie. Przypomnijmy sobie od czego rozpoczynały się rozmowy, wywiady prowadzone w domach, mieszkaniach podczas

ćwiczeń terenowych. Często są to doświadczenia niewypowiedziane, nie opowiadane, pełne emocji a uznane często za nieistotne, nie brane pod uwagę przy późniejszej analizie i interpretacji, a stanowiące przecież ich punkt startowy. Bo gościna to taki rodzaj zatrzymania *stasis*, pozwalający obu stronom na oddech, zamrożenie zwykłego biegu zdarzeń, „zatrzymanie” czasu i przestrzeni, wspomnienie, odnowa, zakreślenie obszaru bezpieczeństwa, *zaczyn zażyłości*, która utwierdza i pozwala iść dalej, wejść głębiej, wracać lub nigdy już się ponownie nie pojawić.

U Lévi-Straussa znajdziemy takie oto fragmenty:

Zwykle za podróż ma się poruszanie w przestrzeni. To za mało. Podróż zaznacza się jednocześnie w przestrzeni, w czasie i w hierarchii społecznej. Każde wrażenie może być tylko wówczas określone, kiedy uwzględni się je w stosunku do tych trzech osi, a ponieważ przestrzeń sama ma trzy wymiary, trzeba co najmniej pięciu wymiarów, aby ukształtować sobie adekwatny obraz podróży (Lévi-Strauss 1960: 85).

Podróż Lévi-Straussa w głąb Brazylii w poszukiwaniu „dzikości” to łańcuch spotkań, wymiany, negocjacji, obaw, nadziei, niewypowiedzianych wprost działań, logistyki, posiedzeń, korzystania z okazywanej na rozmaite sposoby dobroczynności tubylców:

Po kilku godzinach przybywamy do stóp gliniastego stoku, spostrzegamy w górze chaty. Pół tuzina nagich ludzi pomalowanych od stóp do głów na czerwono farbą urucu przyjmuje nas z wybuchami śmiechu, pomaga dobić do brzegu, znosi bagaże. I oto jesteśmy w obszernej chacie zamieszkaney przez kilka rodzin; naczelnik osady zwolecił swój ką na naszą intencję, sam będzie rezydował w czasie naszego pobytu na przeciwległym brzegu rzeki (Lévi-Strauss 1960: 226).

Na dużej ściennej mapie świata powpinane chorągiewki. Niebieskie i czerwone. Niebieskie znaczą: „*tu byłem*”, czerwone „*tam chcę pojechać*”. Budzę się rano na materacu po nocy pełnej dziwnych odgłosów i rozmów dochodzących zza okna. Budzę się w małym, zagraconym pokoju. Gumowa duża piłka, pudło, skrzynka, biurko, książki. Budzę się i patrzę na mapę. Odpoczywam. Gospodarz wyszedł do swych obowiązków. Wstaję, idę do kuchni, z której mogę bez ograniczeń korzystać. Herbata, okno, rolety, słońce. Nie wiem, która jest godzina. Przyjechałem późno. Spałem długo.

Mam walizkę, niewiele rzeczy. Same ciuchy. Pieniądze i dokumenty przy sobie. Spędzę tu cztery noce. Mała uliczka niedaleko budynku parlamentu. Wąskie szkatułkowe kamienice. Cztery piętra, suterena. Wieczorem z gospodarzem rozmawiamy o podróżowaniu, o sobie, swoich planach i zajęciach. Gdzie warto pójść, co zobaczyć. Sandało ma ogromne, budzące strach, spiczaste, kolorowe wsuwane buty, wyszywane cekinami i złotymi nitkami. Jest instruktorem pływania, trenerem. Dużo podróżuje. Objżdża wszystkie kontynenty. Przyjmuje u siebie ludzi, bo ludzie na świecie przyjmują

jego. Ma tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Proste, tanie meble, które zawsze może zostawić. Kilka ubrań, buty, laptop, śpiwór. Program minimum. Zostaję o jeden dzień dłużej niż się umawialiśmy. Szukam następnego noclegu.

Znajduję, jest gościna. Przyspieszenie, przesuwanie się po linii zewnętrznych możliwości. Ascetyczne wymagania. Bardzo ograniczone środki finansowe. Planowanie, „prostowanie” kolejnego dnia. Ekonomiczny kompromis. Czas w perspektywie kilku, góra kilkunastu godzin do przodu. Zużycie kategorii myślowych związanych z planowaniem czasu i „krajowymi” przyzwyczajeniami. Taka jest podróż.

Musiałem się wyprowadzić o godzinie jedenastej. Słońce prawie w zenicie. Skwar, walizki, autobus, wciąganie bagażu po stromych uliczkach i schodach, spojrzenia na mapę, koordynacja skojarzeń, przesiadywanie w parku, kawa, torebka, posiłek, upał. Walizki ciężkie, obtłuczone, przygniecione w luku bagażowym, obtarte od bruku, kółka wygięte, wytarte, porysowane, ledwie ledwie się trzymają, suwak się nie dopina, pałąk niebezpiecznie wygina, jakby zaraz miał odpaść na chodniku, zaplątać się w jego szczelinach. I wreszcie po godzinie osiemnastej spotykamy się pod drzwiami. Inna dzielnica miasta. Andre i Nuno. Wchodzę na górę bardzo wąskimi schodkami. Wymiana uprzejmości. Zakupy, wino, kolacja. Pies wita mnie od wejścia. Skacze, wariuje, szczeka. Całą kolację liże mnie po spoczynnych nogach. Jest gorąco, jest gotowanie, jest alkohol, są rozmowy. Opowieści o kolejnych miejscach, o miastach, zdarzeniach. Płyne opowieść i muzyka. Na zmianę raz portugalskie, raz polskie zespoły. Zupełnie inaczej brzmi Niemen w upalny wieczór przy otwartych oknach na *Alfame*, wśród odmiennych zapachów i dźwięków otoczenia. Uruchamia emocje, sen o Warszawie obrasta w nowe łódzkie znaczenia. Pies nie daje za wygraną, powtarza skomlenia. Miejsce do spania jest w drugim pokoju. Wersalka do dyspozycji. Mieszkanie do dyspozycji na kolejnych kilka dni, i kolejne rozmowy, powtórzenia, spacer, opowiadanie miasta. Myśli lawirują między językami, między słowami, między wrażeniami (lepią się do podniebienia skrawki języka angielskiego, portugalskiego, polskiego). Sklejają się godziny, różnicują i upodobniają dni. Kolejne miejsce to wynajęte mieszkanie u rodzeństwa. Dwójka studentów informatyki. Brat i siostra. Dzielnica Lizbony *Campo Grande*. Blisko lotniska. W ciągu dnia siostra siedzi tajemniczo przy komputerze. W drugim pokoju jej brat. Siedzą długie godziny. Stół, krzesło, łóżko. Łazienka – mydło, prysznic i bidet. Białe ściany. Wysokie bloki rezonujące co dziesięć minut lądowanie samolotu. Rozety na balkonach, okrągłe okna, przyjemne kolory, bezlitosny upał. Wieczorem mieszkanie zapełnia się towarzystwem. Impreza, śmiechy, wymiana informacji na temat sposobów picia alkoholu: co, z czym i kiedy. Wzajemne uczenie się brzydkich słów. *Foda-se, caralho, filho da puta*. Wspólne wyjście do miasta. Przydatne wskazówki do poruszania się po nim o różnych porach dnia i nocy. Miejsca zachwyty i miejsca niebezpieczne, miejsca poznawane poprzez ludzi.

Były jeszcze dwa mieszkania i dwie gospodynie w Lizbonie. Podobny scenariusz. Zapoznanie, wspólne biesiadowanie. Materac, łóżko, kuchnia do dyspozycji. W Barcelonie przyjmująca gospodyni dała dodatkowy komplet kluczy, tak byśmy czuli się swobodnie. Poza tym w mieszkaniu przebywali jeszcze inni goście: z Wielkiej Brytanii, USA, Japonii.

Nasze ścieżki i historie na zmianę, to się krzyżowały, to rozchodziły. Nigdy nie wiadomo kogo się spotka, co dalej – cisza, hałas czy imprezowanie. Ciąg ekstrawagancji. Chwiejna, niepewna postawa wobec świata – otwarcie/zamknięcie. Jak drzwi zasuwane automatycznie. Reakcja na impulsy, intuicyjne ich rozczytywanie. Determinizm, behawioryzm, kac. Dalej w drogę. Romantycznie. Poetyka przemieszczania. Wśród ludzi, z ludźmi, czasem przeciwko nim, zawsze w jakiejś relacji. Formalnej, przyjaznej, przyjezdnej.

Wszystkie te pobyty były możliwe dzięki osobom, które poznałem poprzez portal społecznościowy *Couchsurfing*. Znany internetowy portal oparty na idei kulturowej wymiany i gościnności. Można powiedzieć „kanapowej” wymiany kulturowej. To swoisty klub wzajemnej przed-pandemicznej gościnności. Zasada jest prosta – rejestracja, logowanie i poszukiwanie. Wymagany jest szczegółowy profil uwzględniający wiek, oczekiwania, obowiązki, preferencje, zainteresowania, charakter udziału w społeczności, rekomendacje etc. Serwis ten łączy ludzi oferujących i poszukujących bezpłatnego noclegu. Szukamy, pytamy, akceptujemy, potwierdzamy. Jest jedną z wielu internetowych stron pomagających w podróżowaniu i turystyce omijającej zwyczajowe i formalne ścieżki ludzkiej współpracy. Nie chodzi li tylko o ekonomiczny wymiar podróżowania, ale o wpisana w powstanie portalu chęć stworzenia platformy ułatwiającej i poszerzającej wiedzę, kontakty międzynarodowe, dialog i współpracę ludzi z różnych kultur świata. A taki dialog zaczyna się właśnie od gościnności. Szukania wspólnego gruntu wpisanego w tym wypadku w kulturę europejską, miejską. Nie tylko na poziomie instytucjonalnym, prawnym, ustawowym, państwowym, ale na poziomie codzienności i jednostkowych wolnych wyborów¹.

Poprzez *Couchsurfing* zapoznaje się ludzi. Poprzez nich miasto, jego dzielnice, miast specyfikę. Zobaczyłem jak mieszkają „zwykli” obywatele. Dowiedziałem się gdzie chodzić, gdzie i jak stać, jak się poruszać, jak się zachowywać, gdzie i co jeść, czego unikać. Ta wiedza zdobyta podczas rozmów, obserwacji, wspólnego przebywania i biesiadowania przydała się do prowadzenia późniejszych przedsięwzięć badawczych w Lizbonie. Do wykorzystania w praktyce, zdobycia pewności w poruszaniu się i komunikowaniu w mieście. Zmyciu z siebie obrazu obcego (na jakiego na pierwszy rzut oka wyglądam), zdobyciu zaufania i statusu niezauważalnego. Jak *ghostwriter*. Badacz widmo. Dostosowany jak Alicja po drugiej stronie lustra do panujących tam warunków.

¹ Na temat zjawiska *Couchsurfingu* powstało już całkiem sporo, w tym antropologicznej, literatury w postaci artykułów, książek i prac magisterskich zarówno w języku angielskim, jak i w języku polskim, m.in. *Phenomenon of Couchsurfing as alternative tourism*, Gnevosa, S. Tuluza 2011, *Couchsurfing Cosmopolitanisms. Can Tourism Make a Better World?* Picard, D., Buchberger, S. (eds.) Bielefeld 2013, *Sleeping with Strangers: Redefining experiences in a CouchSurfing World*, Holwick K. praca magisterska, Uniwersytet w Lund 2011, *Wybrane wzory gościnności wobec wzorów praktyk turystycznych powstałych wokół zjawiska couchsurfingu*, Pisarek A. „Turystyka kulturowa” nr 3, 2013, *Wspólnota znaczeń czy nowoplemię? Etnograficzne badania warszawskiej społeczności couchsurfingowej*, Hus P., [w:] „Etnografia. Praktyki, Teorie, Doświadczenia” nr 2, 2016 s. 73-100., *Couchsurfing czyli kulturowa wymiana kanapowa*, Jabłoński A., praca magisterska, Uniwersytet Łódzki 2016.

[...] etnografkę w terenie porównać można do aktora na scenie: także ona musi dokonać enkulturacji swego ciała do nowych wzorców odpowiedniego działania. Same badania terenowe postrzegać można jako drugą enkulturację. Taki jest w końcu, było nie było, ich *raison d'être* – pisze Kristen Hastrup (Hastrup 2008: 95).

Portugalska i amerykańska gościnność jest szczodra i bezpretensjonalna. Bez gorsetu. Garsonek, koturnu, zbytniej wystawności. Przyjmują cię w domu „tak jak stoją”, w piżamie, podczas gotowania obiadu, podczas sprzątanania, spania, między zakupami a pracą, na specjalnie uroczystej kolacji. Jest interakcjonizm symboliczny, etnometodologia, funkcjonalizm, jest hermeneutyczne zwarcie.

Gościnność zawsze jest szczodra, różnorodna w formie, nasączona przywilejami, mniej lub bardziej ceremonialna, spontaniczna lub według protokołu – krótka. Płynna struktura. Czy to Miranda, Lizbona, Porto, Nowy York, Barcelona, San Francisco, Zakopane, mieszkanie dalekiej krewnej, czy w Krakowie u Morgana, gdzie zawsze czeka na mnie czysta poszewka, ręcznik, towarzystwo i posłanie, to wydaje się ona być przystanią najważniejszych bio-kulturowych wartości. Jednym z ostatnich kulturowych tabu (choć wystawianym współcześnie na ciężką próbę). Trzymającym w ryzach świat rytuałem. Uniwersalnym językiem oczyszczonym z niepotrzebnych ornamentów. W świecie post-prawdy, *gliss generation*, fejsokracji, banału, gdzie niemal każda codzienna relacja mierzona jest handlowym potencjałem. Przeliczana. Kapitałem, zasobami, ilością impulsów, lajków, produktów. Gościnność, jak grawitacja, unieważnia stan „podróźnej nieważkości”. W podróży, w obcym terenie, w innym mieście. Umożliwia przebywanie. Porusza. Im większa masa tym większe przyciąganie. Im ważniejsza osoba, wyższa ranga tym bogatsza otoczka. Krewny, sąsiad, mama, prezydent. Wymiana informacji. Przekaz. Performans. Pokoleniowe interferencje.

Last but not least. Jeśli mowa o własnym skromnym doświadczeniu, to przypominał sobie czas poszukiwania pracy, miejsca dla siebie, przestrzeni, metaforycznej i dosłownej zawodowej przystani; dryfując na rozległych wodach humanistyki, czując się jak rozbitek na wzburzonych wodach akademickiej, uniwersyteckiej polityki. Czując się jak Malinowski, który pisał:

Doskonale pamiętam owe długie wizyty, w poszczególnych wioskach podczas pierwszych tygodni; to uczucie beznadziejności i rozpacz po wielu uporczywych, ale bezowocnych usiłowaniach, które wcale nie doprowadziły do nawiązania rzeczywistego kontaktu z tubylcami, ani też nie dostarczyły żadnego materiału. Miewałem okresy zniechęcenia, kiedy to pogrążałem się w powieści jak człowiek, który zaczyna pić w napadzie tropikalnej depresji i apatii (Malinowski 1981: 31-32).

Poza linią horyzontu kotłował się jednak – ujmując rzecz głęboko metaforycznie – statek, którego wysokie widoczne z daleka maszty zwiastowały nadzieję, azymut,

kierunek drążenia i dążenia. Statek-wyspa, gościnna przystań humanistów, bukinistów, flibustierów pod banderą życzliwości i intelektualnej żarliwości. Gościnny kontynent pełen świeżych idei, grupa ludzi udzielająca mi swojej niespodziewanej gościny.

Być może wiedząc o gościnie jako niezbywalnym komponencie kultury łatwiej jest nam przetrwać trudy tej metaforycznej i dosłownej podróży. Łatwiej zmierzyć się ze słabościami, momentami zniechęcenia i zmęczenia. Tym całym wachlarzem przeszkód, które tak subtelnie ukrywamy przed sobą samym, czytelnikiem czy bliskimi. Przecież podróż ma swoją ciemniejszą stronę. Rezygnacje, nieoczekiwane okoliczności, kradzieże, problemy, stres, szukanie pomocy, rozczarowania, kłótnie, zwroty akcji... miasta i ich dzielnice bywają zwodnicze, nieprzyjazne, niebezpieczne.

Podróżowanie odbywa się w porządku łączącym, to co rzeczywiste z naszymi (nie mniej realnymi) wyobrażeniami. Oscylujemy między kulturową matrycą przemieszczania się a własnymi przyzwyczajeniami, między fikcją a nie-zwykłym biegiem zdarzeń, między wymogami, jakie stawia przed nami sytuacja a „mitologicznym” rezerwuarem wzorców, pragnień i zachowań związanych ze zwiedzaniem, poznawaniem obcego kraju, przebywaniem w nowym, często egzotycznym środowisku. Podróż i gościna, to obszar zniuansowanych (niemal dyplomatycznych) „negocjacji”, rozpoznawania siebie, dostosowywania się, kompromisu i konieczności. Tym bardziej teraz, gdy podróżowanie do jakiego zdążyliśmy się przyzwyczaić i tym samym gościnność poddane zostają tak nieoczekiwanej próbie.

Bibliografia

- Carroll L. 1988. *Alicja w krainie czarów*. Warszawa: Wydawnictwo Greg.
- Droit R.P. 2005. *51 zabaw (z) rzeczami. Doświadczenie rzeczywistości*. Gdańsk: Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne.
- Hastrup K. 2008. *Droga do antropologii. Między doświadczeniem a teorią*. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego.
- Holwick K. 2011. *Sleeping with Strangers: Redefining experiences in a CouchSurfing World*, praca magisterska. Uniwersytet w Lund
- Hus P. 2016. *Wspólnota znaczeń czy nowoplemię? Etnograficzne badania warszawskiej społeczności couchsurfingowej*. [w:] „Etnografia. Praktyki, Teorie, Doświadczenia” nr 2, Gdańsk, s. 73-100.
- Jabłoński A. 2016. *Couchsurfing czyli kulturowa wymiana kanapowa*. praca magisterska, Uniwersytet Łódzki
- Lévi-Strauss C. 1960. *Smutek tropików*. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy
- Malinowski B. 1981. *Dziela T. 3, Argonauci Zachodniego Pacyfiku. Relacja o poczynaniach i przygodach krajozców z Norwej Gwinei*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Picard, D., Buchberger, S. (eds.). 2013. *Couchsurfing Cosmopolitanisms. Can Tourism Make a Better World?* Bielefeld

Pisarek A. 2013. *Wybrane wzory gościnności wobec wzorów praktyk turystycznych powstałych wokół zjawiska couchsurfingu*. „Turystyka kulturowa” nr 3. Poznań

Tuluza S. 2011. *Phenomenon of Couchsurfing as alternative tourism*, Gnevosa

Autor:

Dr Krystian Darmach

e-mail: krystian.darmach@uni.lodz.pl